



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Genowefa Chyczyńska

Dom przy więziennym murze

Nie miałam jeszcze dwunastu lat, gdy po raz pierwszy usłyszałam, że może być wojna z Niemcami. Było to zimą, na chrzcinach mojej siostrzyczki Wandzi. Rodzice rozmawiali z gośćmi i wtedy padły słowa: „Jak wpakowali się do Austrii, to i do Gdańska wejdą”.

Byłam już wtedy dość czytana dziewczynką, wiedziałam, gdzie leży Austria i że z niej do Gdańska to spory kawał drogi, więc zbyt nie przejęłam się tą wiadomością. Bardziej natomiast uderzył mnie fakt, gdy w kilka miesięcy później papa przeczytał w gazecie, że Niemcy zajęli Kłajpedę, litewski port, a tam był jeden z naszych kuzynów, który służył w marynarce. Rodzice martwili się, co z nim będzie. Zaraz napisaliśmy na Litwę, do cioci Heleny, która mieszkała w Mariampolu. Po kilku tygodniach przyszedł list. Ciocia pisała, że też się martwi o syna, że jeszcze nic o nim nie wiedzą. To była pierwsza niepewność wojenna, a potem rozpoczęły się inne niepewności, oznaki lęku, przygotowania do ewentualnego wkroczenia Niemców do Polski.

W szkole działała LOPP, czyli Liga Obrony Przeciwlotniczej. Wyświetlano filmy, ilustrujące produkcje bomb, dział przeciwlotniczych, budowanie schronów, sposoby ochrony przeciwlotniczej, obrony ludności cywilnej przed atakiem bombowym i gazowym. Dziewczynki z klas szóstych i siódmych przechodziły kursy sanitarne. Ja także na taki kurs uczęszczałam. Niby uważnie notowałam wszystkie wiadomości, jakie przekazywała nasza pani higienistka oraz starsze koleżanki z gimnazjum należące do PCK, ale tak naprawdę byłam jeszcze głupim dzieckiem.

Przyszła wiosna 1939 roku, maj, najcudowniejszy okres nad Wilią. Po lekcjach z gromadą chłopaków bawiłam się na placu Łukiskim w wojsko! Miałam swój pułk – kilkunastu chłopaków. Maszerowaliśmy po placu, śpiewając pieśni „O mój rozmarynie”, „Wojenka, wojenka, cóżeś to za pani”, „Jak to na wojence ładnie”, wydawałam rozkazy, stosowałam musztrę: „Padnij, powstań”, fechtowaliśmy się patykami, jak szablami.

Papa gniewał się na mnie: To nieładnie tak, aby dziewczynka latała z chłopakami z patykiem w garści! – gromił mnie i zaganiał do domu.

A ja zachłyśnięta tragicznymi losami „Chłopców z Placu Broni”, przeistaczałam się w bohatera Bokę, mając przy sobie Nemezcza – Tadzika Wołkowicza, mego adiutanta, broniliśmy swego placu. Był nim duży, zachwaszczony ogródek za domem i rzędem topól, prawie stuletnich, które zasłaniały mury więzienia Łukiskiego. W cieniu tych topoli i szarego muru pamiętającego czasy Murawiewa płynęło moje dzieciństwo.

Mieszkaliśmy na ul. Pańskiej, w starym domu, którego właścicielem był pan Malinowski. W suterynie tego domu papa miał pracownię kołodziejską, a nad nią było nasze mieszkanie. Pracowita

mama wychowywała gromadkę dzieci, których w 1939 roku było siedmioro i ja – najstarsza. Dom pana Malinowskiego zamieszkiwało kilkunastu mieszkańców od suteryn po poddasze.

Dzieci bawiły się albo na placu przed frontem domu, pod oknami pracowni, albo za domem z topolami w ogrodzie, który w zależności od zabawy był puszczą, pustynią, prerią albo boiskiem do gry w palanta czy dwa ognie. Naszym zabawom przyglądali się strażnicy z wież, stojących w kilku rogach więziennego dziedzińca, wież za wysokim murem, gęsto oplecionym kolczastym drutem. Smutne to było miejsce zabaw, bo i smutny był żywot dzieci, mieszkańców tego dawno nie remontowanego domu. Zasadniczo tylko kilka rodzin posyłało swe dzieci do szkół. My, dzieci pana majstra, uchodziliśmy w oczach biedaków, prawie analfabetów, za „pańskie dzieci”, bo nie biegaliśmy bosy, chyba po deszczu dla przyjemności, chodziliśmy w ładnych mundurkach do szkoły, a w niedzielę w świątecznych ubraniach do kościoła.

W czerwcu po zakończeniu roku szkolnego brat wyjechał na kolonie letnie do Leoniszek, ja z siostrą Jadzią chodziłam na półkolonie do S.S. Nazaretanek w Zabrecie, a mama z młodszym rodzeństwem wyjechała na wieś w oziśnieńskim powiecie. Mama miała w dzierżawie u swego brata Piotra 6 hektarów ziemi. Co roku odbierała pieniądze za dzierżawę i tego lata wuj miał spłacić zaległą kwotę za poprzedni rok. Pieniądze były potrzebne. W tym roku szkolnym czworo dzieci wymagało wyposażenia w ubiory i przybory szkolne, opłacenie czesnego itd.

I wtedy latem doszło do mnie widmo wojny. Mobilizacja! Dwaj terminatorzy papy zostali powołani do wojska. Byłam przerażona.

– A papę też zabiorą? – pytałam, ale ojciec mnie uspokoił:

– Do wojska mnie nie wezmą. W książeczce wojskowej mam taką kategorię, która mnie dyskwalifikuje – powiedział jakby zawstydzony, a ja się z tego ucieszyłam. Potem okazało się, że z naszego podwórka do wojska poszedł ojciec Tadzika, Krysi, małego Icka, który ładnie grał na skrzypcach, a także dwóch innych kolegów brata.

Nowy rok szkolny miał się rozpocząć 4 września w poniedziałek. Miałam już przygotowany nowy mundur, fartuszek, czarny z falbankami, a także prawdziwą, skórzaną teczkę! Do tej pory nosiłam „spracowany” tornister z tektury. Podręczniki oraz zeszyty także już miałam kupione.

Rano w piątek 1 września mama z dwoma koszami poszła na rynek, który był widoczny z okien naszej kuchni. Targ odbywał się co wtorek i piątek. Ale tego dnia jakoś niewiele przyjechało rolników. Stało kilka furmanek i nieliczne kobiety z bańkami mleka przewieszonymi przez ramię, a także trochę starszych ludzi z koszami grzybów, borówek i śliwek.

Akurat zajęta byłam wysadzaniem na nocniczek siostrzyczki Wandzi, gdy rozległy się syreny z garbarni i skądś z daleka.

Znów alarm! – pomyślałam. – Tak rano? Zawsze próbne alarmy odbywały się w południe. Wśród wycia syren usłyszałam dalekie bzykanie samolotów, jazgot działek przeciwlotniczych, a naraz!... daleki głos wybuchów... Bomb! – pomyślałam ze zgrozą. Do mieszkania wpadł papa.

– Wojna! Niemcy przekroczyli granicę nad ranem! – powiedział. Widocznie usłyszał to przez radio, które nieraz na głos z sąsiedniego domu grało i gadało!

Za chwilę przyszła mama z koszem grzybów i borówek. Siadła bezsilna, nie wiadomo, czy z zdziwienia ciężkich koszów, czy z tej okropnej wiadomości.

– Wojna dietyńki! Co to będzie? Jak my przeżyjemy? – szlochała.

Widok płaczącej mamy był nie do zniesienia. Schowałam się za zasłonkę w kuchni, gdzie była umywalka, i dałam folę swoim łzom. Zrobiłam też przyrzeczenie, że więcej płakać nie będę. Muszę rodzeństwu dać przykład siły i hartu!

Wieczorem był drugi nalot. Bombardowano koszary na Antokolu, na Wilkonirskiej, lotnisko na Porubanku. Zaczęła się wojna! Wojna! Ale w poniedziałek normalnie zaczęła się... szkoła. Poszłam z siostrą na ósmą do żeńskiej szkoły nr 37 im. Zofii Bukowieckiej, ustawiliśmy się parami; poszliśmy do kościoła Św. Jakuba na mszę św. Potem znów do szkoły. Pani kierowniczka Lucyna Małecka przemówiła do nas uroczystie i zapewniała, że nauczyciele wszystko zrobią, aby lekcje odbywały się normalnie, a my swoją postawą musimy im w tym pomóc. Staraliśmy się. Byłam już w piątej klasie, więc należałam do „starszych”. Na lekcjach prac ręcznych robiłyśmy gaziki, zwijałyśmy bandaże, uczyłyśmy się udzielania pierwszej pomocy rannym i zagazowanym. Robiłyśmy maseczki z tamponikami. Każda dziewczyna miała przez ramię przewieszoną białą torebkę z czerwonym krzyżem, a w niej prócz kartki z osobistymi danymi: jodynę, maść przeciw oparzeniu, gazę, watę, bandaże, wodę utlenioną. W klasach, tak zresztą, jak wszędzie w mieście, okna były pozaklejane paskami papieru na krzyż, aby uchronić szyby przed wypadnięciem od wybuchu bomb. Na placach i skwerkach kopano w dalszym ciągu rowy i schrony. Cały plac Łukiski był już przekopany. Stracił swój dawny, rozległy, przestronny widok. Smutno było patrzeć na niego.

Co wieczór na nim zbierała się gromadka ludzi przed głośnikami radiowymi, które w różnych punktach miasta ustawiono. Słuchano wiadomości z frontu, który zastraszająco zbliżał się do Wisły, do Warszawy... Tak trwało dwa tygodnie.

Siedemnastego września pomagałam mamie przy pieczeniu placka śliwkowego. Jutro mama miała swoje trzydzieste ósme urodziny, chciała więc je uczcić jakimś lepszym podwieczorkiem. Krajałam duże śliwki na pół, wybierałam pestki i rozmawiałam z mamą o tym, czy długo jeszcze potrwa wojna i czy Niemcy tu dojdą. Tego najbardziej się obawiałam.

Ciasto zostało upieczone, wspaniale pachniało i stygło na oknie, rodzice zagonili nas do mycia się, mówienia pacierza i... spać. Sami jak zwykle już od tygodni poszli na plac posłuchać komunikatów wojennych.

Rodzeństwo już spało, gdy ze zdumieniem zauważyłam, że naraz zapaliła się latarnia stojąca na placu tuż przed naszym domem. Latarnia ta oraz duży kasztanowiec przy chodniku były dla nas dziećmi symbolem dawnych lat, tych sprzed dwóch tygodni, kiedy nie było wojny. W blasku tej latarni wieczorami zbieraliśmy kasztany. A teraz znów płonie? Co się stało? Przecież w każdej chwili może być nalot? Stałam przy oknie w kuchni i zauważyłam rodziców idących dość szybkim krokiem do domu. W stronę ulicy Więziennej także szły gromadki ludzi.

Papa wszedł do mieszkania i bez słowa udał się do pokoju rodziców. Mama zamknęła drzwi, spojrzała na mnie. Mama płakała! Udałam się za nią do sypialni. Ojciec siedział na łóżku, twarz ukrył w rękach i płakał! Byłam przerażona. Papa płakał! Mężczyzna dorosły płakał! Coś niepojętego! Nawet po śmierci naszego braciszka tak nie rozpaczał, co się stało?

– Papa, co się stało! – pytałam.

– Córcia! Nie ma już Polski, nie ma wolności, znów rozbiory!

– Jakie rozbiory? Niemcy przyszli? – spytałam struchlałym głosem, mając na myśli zapaloną latarnię.

– Jakie Niemcy? Sowieckie czołgi na placu! Ot, czego doczekaliśmy!

Gdzieś około północy ktoś zastukał do drzwi. Poszłam otworzyć, bo spałam w jadalni, byłam najbliżej przedpokoju. Przez boczne okienko kuchni zauważyłam polskiego żołnierza. Otworzyłam drzwi. Był to wujek Broniek, najmłodszy brat mamy. Walczył pod Wizna, jego pułk rozбитo, z trudnością dostał się do Wilna. Prosił mamę o jakieś stare ubranie papy. Zdejmował mundur, przebierał się w drelichowe spodnie ojca od pracy, nakładał starą marynarkę. I tak przebrany chciał przedostać się do rodziny, do Filipowa niedaleko Plissy. Powiedział, że ruscy rozstrzelują oficerów, a zwykłych żołnierzy wywożą do Rosji. Poprosił mamę o kawałek chleba i poszedł. Zostawił mundur! Mundur polskiego żołnierza! Mówili, że nie oddadzą nawet guzika, a on zostawił cały mundur z guzikami, na których były orzelki! Płakać mi się chciało, gdy mama zwinęła mundur w papier, przedtem obłożyła go woreczkami z lawendą, schowała do kufra, który wyniesiono do piwnicy.

– Przyda się jeszcze komuś! – powiedziała – i rzeczywiście, w 1944 żołnierzom z AK.

Nazajutrz normalnie poszliśmy do szkoły. Ale była zamknięta do odwołania. Wracając z koleżanką Witką, Żydówką, poszliśmy na plac Orzeszkowej obejrzeć „Sowietów”. Stały dwa wozy pancerne i czołg. Dokoła kręciły się dzieciaki-ulicznicy, zjadały suchary, którymi poczęstowali je krasnoarmiejcy. Spoglądałam na nich z pogardą. Coś takiego! Wdzięczyć się do nieproszonych gości.

Lekcje rozpoczęły się na początku października. Od razu dowiedzieliśmy się, że Wilno zostało oddane Litwinom, bo to ich dawna stolica. Pół klasy buntowała się, a ja byłam lojalna, uważałam, że im to się słusznie należy. Wprawdzie przed czterystu laty połączyliśmy się Unią z Litwą, ale Wilno Zygmunt August, a wcześniej Gedynin rozbudował przy pomocy Rusi i Polski. I nie miałam zbytniej pretensji, że kierownikiem został Litwin, pan Syskinefas (nie pamiętam już dobrze jego nazwiska), ale buntowałam się, że na ścianie wisi portret Stalina, a nie Smetohy, a także krzyż zdjęto z głównej ściany i powieszono nad drzwiami.

Półowę dawnych nauczycieli usunięto, w tym moją wychowawczynię p. Pelagię Nowicką. Nowym wychowawcą został p. Piotr Szablowski, student z Uniwersytetu Batorego. Odeszła też p. katechetka. Religii uczył ks. prefekt Jan Druchowski. Doszły nowe przedmioty: język litewski i język rosyjski. Podręcznik do litewskiego „Elementorius” bardzo mi się podobał, choć też i śmieszył. Bukwy rosyjskie już znałam. W domu mama czytała po rosyjsku „Wajna i mir” Lwa Tołstoja i trochę zapoznałam się z tym alfabetem. Doszła też „Historia Litwy”, która nawet mnie zaciekawiła. Na ulicy pojawili się litewscy policjanci. Wysocy, dorodni chłopcy w śmiesznych czerwonych czapkach i dość ładnych mundurach. Nazywaliśmy ich „kałakutasami” – od kałaktas – indyk.

Dopiero później na studiach zrozumiałam, że ta litewska nazwa jest pochodzenia praindoeuropejskiego. Do dziś w języku hindi kałakut to indyk. Tylko Litwini w swoim języku do wszystkich wyrazów pochodzenia obcego dopisują swoje końcówki -us, -as, -czę, -ute, -ate – w zależności od rodzajów rzeczownika.

Radość spowodowana kontynuacją nauki została przyćmiona wieloma zjawiskami, które nas dzieci bulwersowały. Rozwiązano harcerstwo, Krucjatę Eucharystyczną, do której należałam, i Sodalicję Mariańską, do której należały moje koleżanki. Raptem okazało się, że moje dawne koleżanki z klasy czy z okolicznych podwórek są Litwinkami i gadają po litewsku. Ha! I nie nazywają się już Żwisblisówna, Jodasówna czy Smejlisówna, ale Żwisblisaite, Juadasaite, Smajlisajte itd. W dzienniku lekcyjnym też

nasze nazwiska zapisane były po litewsku. Teraz nazywałam się „Genoweite Rakseviute!” Ha! Trzeba było przyznać, że Litwini raptem zadbałi o rodziny wielodzietne, w naszym domu zjawily się jakieś „czynniki społeczne” i otrzymaliśmy zapomogę żywnościową, w paczce były smakołyki: mała beczulka pysznego masła, pudło sardynek z Pałagi i jakieś „kojalis” – czyli nóżki w galarecie w puszkach z Kowna.

Namawiali papę do przyjęcia obywatelstwa litewskiego, twierdząc, że Raksewicius to dawne nazwiska „Raksas” – od nazwy koła, kołodziejów, ale papa dobitnie im wytłumaczył, że nasz ród pochodzi z Rakszawy koło Rzeszowa czy Łańcuta. A na Litwę przodkowie przybyli z taborem Zygmunta Augusta, kiedy wiozł zwłoki swojej ukochanej żony Barbary do Wilna i potrzebował kołodziejów do naprawy kół taboru. Jednym takim był niejaki Bujwice Raksza – nasz protoplasta. Nie wiem, ile było w tym prawdy, ale jakoś Litwini już nie nalegali. Zresztą – Litwa od lutego 1940 roku przestała być „wolna”. Stała się Związkową Republiką Sowieckiego Sojuzu. Krzyż zniknął znad drzwi naszej klasy, księdzka prefekta zwolniono a na ścianie przybyło kilka portretów różnych Woroszyłów i jeszcze tam kogoś. Waluta litewska, na którą wymieniali rodzice polskie złote, przestała już być litami, tylko rublami, a więzienie, które już od września było pełne, zappełniło się nowymi aresztowanymi. Codziennie z okien kuchni widziałam kolumny osób, przeważnie młodzież męską, gnanych do więzienia. Ojcowie moich koleżanek: Halinki J. Iwonki W. – podzielili smutny los nieszczęśników, których później wywieziono w głąb Rosji. Byli to przeważnie adwokaci, profesorowie, działacze kultury, policjanci i pracownicy więzienia, jak na przykład ojciec Halszki Jakulinowej czy Irki Modzelewskiej. Ich mamy, do tej pory wzorowe panie domu, mające do pomocy służącą, same stały się służącymi. Pracowały jako kucharki w domu różnych komandirów albo piekły ciastka do kawiarni, które jeszcze istniały, jak na przykład Rudnickiego na placu Katedralnym czy Zielonego Sztralka na ulicy Mickiewicza. Życie szkolne bardzo mnie absorbowało. Ten rok szkolny 1940/41 ogromnie wpłynął na rozwój moich zainteresowań literaturą i śpiewem. A to dzięki dwóm wspaniałym pedagogom: panu Piotrowi Szablowskiemu, mojemu wychowawcy i nauczycielowi języka polskiego, oraz pani Zofii Błasikowej, nauczycielce śpiewu.

P Szablowski stał się idolem starszych dziewcząt. Wszystkie „aczki” w nim się kochały, a z „beczeli”, czyli mojej Vb, a później VIB na zabój były zakochane dwie: Lidka M. i Halina R. – najładniejsze dziewczynki z klasy, które na siłę chciały uchodzić za dorosłe. „Aczki” przeżywały go Klapusiem, ja przerobiłam na Klapę i ta nazwa utrzymała się do końca nauki w szkole podstawowej. On sam chyba też zaakceptował tę nazwę, bo wpisując mi do sztambucha wiersz Słowackiego, podpisał się: Klapa. Ja sama też w jakiś sposób go uwielbiałam. Najczęściej dokuczaniem, psoceniem, wyśmiewaniem, pisaniem dowcipnych wierszyków lub sloganów, które wypisywałam na tablicy, będąc dyżurną: „Bum, bum na basie; Nie śmiećcie w klasie, bo powiem Klapie, a on da po łapie!”.

Klapa wchodził do klasy, przeczytał i tłumiąc śmiech (wyraźnie to widziałam, jak drgały mu policzki), zaciskał usta, a piękne czarne oczy rzucały spojrzenia w moją stronę, wycierał dokładnie gąbką tablicę i kazał wybrać zeszyty z zadaniem domowym.

– Przeczyta je ... – rozglądał się po klasie i często kończył: – Rakszewiczówna. – Bardzo często nie miałam odrobionego zadania. Nie było na to czasu w domu, więc na oczekaniu improwizowałam treść tematu. Jestem pewna, że on o tym wiedział, ale nie chciał mnie kompromitować przed klasą. Był zresztą któregoś dnia u nas w domu i zobaczywszy mnie z czeredą rodzeństwa chyba zapomniał, że przyszedł przekazać mamie wszystkie moje przewinienia, łącznie ze zjeżdżaniem z poręczy schodów, namalowaniem okularów na portrecie Stalina, a także wejściu na dach hotelu „Georg”, który przylegał do naszej szkoły.

Klapa prowadził Kółko Literackie, redagowaliśmy gazetkę ścienną, mnie zrobił zastępcą „naczelnego”, którą była „aczka” mądra i poważna Mirka M. Prócz Kółka Literackiego prowadził Koło Żywego Słowa, i tu mogłam się wyszaleć deklamatorsko. Już wtedy uwielbiałam Słowackiego, znałam całą masę fragmentów z „Godziny myśli” z „Beniowskiego”, Mickiewicza też uwielbiałam. Na pamięć znałam dużo ballad, a także fragmentów z „Pana Tadeusza”, gdy na lekcji przerabialiśmy „Grażynę”, zaraz nauczyłam się początku utworu, a z „Konrada Walenroda” „Skąd wracali Litwini...”. Na lekcji zaśpiewałam też piosenkę o Wilii, zyskując uznanie koleżanek, szczególnie jednej, tej, co najmocniej kochała się w Klapie, Lilce K. Druga osoba, która oczarowała mą duszę, to była pani Błasikowa, nauczycielka śpiewu. Sama lekcja w sali gimnastycznej przy fortepianie była wprost cudowna! Uwielbiałam ręce pani, która tak cudownie grała cudowne pieśni: Nowowiejskiego, Mayzhera, Hławiczki, Joteyki i wiele ludowych polskich, litewskich, rosyjskich oraz białoruskich.

Jeszcze w maju 1938 roku poznałam smutek i odczuwałam radość śpiewania, gdy mnie „mameka” w porównaniu z innymi koleżankami poprosiła do chóru szkolnego. Wraz z tym chórem śpiewaliśmy w studio radiowym dużo pieśni i płakałam z dumy, że jak prawdziwa artystka wystąpiłam w radiu i cała Polska słyszy głos chóru szkoły nr 37 w Wilnie. Pani Błasikowa nauczyła nas nut i odczytywania melodii pieśni z nut. Wyśpiewywałam w domu rodzeństwu gamy i trójdźwięki, a także różnego rodzaju ćwiczenia emisyjne, dumna ze swoich nowych wiadomości.

Zajęta życiem szkolnym, nie interesowałam się kłopotami rodziców. Papa nie mógł rozwijać swego rzemiosła, bo nie miał zbyt wiele zamówień. Nie zatrudniał terminatorów. Warsztat wprawdzie zarejestrował w magistracie, ale dochodów nie było. Sporadycznie ktoś zamówił koło lub części do wozów, ale trudności były z materiałem. Nikły zarobek z napraw kół dorożkarzy czy rozwory do wozu nie dawał dochodu. Papa zajął się wyrobem narzędzi rolniczych: grabi, szuffli do zboża, trzonków do łopat i innych podobnych drobiazgów, a mama i brat sprzedawali to na rynku. Zyski były małe, więc też ubogie jedzenie w domu. Już nie jedliśmy obiadów z trzech dań, jak dawniej. Rano zupa mleczna i kawałek chleba ze smalcem lub dżemem, na obiad znów zupa, gęsta jarzynowa albo krupnik na kawałeczku mięsa, które było tylko dla ciężko pracującego ojca. Po chleb, kaszę i cukier trzeba było długo stać w kolejkach. Tak samo po mięso i słoninę.

Rok szkolny zakończył się na początku czerwca. Wyjechałam na kolonie letnie do Leoniszek pod Wilnem, które kiedyś prowadziła p. Rudzka, właścicielka tychże, a teraz były „pod zarządem” Ludowego Komisariatu Oświaty. Jedzenie na koloniach było nawet niezłe. W wolnych chwilach zbieraliśmy gąsienice z kapusty, a także na zakończenie turnusu przygotowaliśmy, oczywiście pod kierownictwem wychowawczyni, baśń Lucyny Krzemienieckiej „O królewnie zamkniętej w wieży”. Ja grałam rolę giermka rycerza, który tę królewnę uratował.

Po wakacjach rozpoczęłam ostatni rok nauki w szkole powszechnej. I znów z pasją pracowałam w Kółku Literackim i chórze. Chodziłam – niestety – w starym mundurku i fartuszkach, półbutach też. O nowe było trudno, zresztą papa wciąż zarabiał niewiele, obiady były coraz uboższe. W szkole było dożywianie, gorąca zupa na dużej pauzie, ale tylko zimą. Kółko Żywego Słowa wystawiło inscenizację „Ojca zadżumionych”. Ja byłam Aratem, który skarżył się na swój ciężki los osieroconego męża i ojca Słowackiemu, którego grała piękna Lila R. czarnooka, czarnowłosa i z nosem „słowackim”. Stała oparta o palmę (prawotninę), a ja wysmarowana brązowo, z turbanem na głowie jęczałam o boleści (...naznaczono mi nowych dni czterdzieści! – i tak dalej... Odniosłam sukces i zdobyłam uznanie w oczach koleżanek, nie za grę czy urodę... o nie! Za pamięć, jak ty mogłaś tyle nauczyć się na pamięć! Usłyszałam słowa pełne podziwu).

W tym czasie prócz przeżyć w szkole miałam też inne. Byłam pierwszy raz w teatrze na „Kuligu” Szyllera, a także w operetce na „Księżniczce czardasza”. Niesamowite przeżycia! Melodie potem nuciłam przez parę tygodni. Byłam też na recitalu Hanki Ordonówny i Ludwika Sempolińskiego, którzy występowali w „Lutni”. Koleżanki były zachwycone głosem znanej artystki, ja nawet ją niezłe naśladowałam, ale repertuar mi nie odpowiadał. Piosenki przecież były o... miłości! A gdzie mi tam wtedy było do... miłości!

Zimą roku 1941 zasłynęłam jako poetka szkoły. W „Prawdzie Wileńskiej” – codziennej gazecie był dodatek „Strona młodego czytelnika”. Ogłosiła ona konkurs dla dzieci: napisanie tekstu do historyjki obrazkowej. Wzięłam więc udział i dostałam drugą nagrodę. Pierwszą i trzecią dwaj chłopcy z gimnazjum Zygmunta Augusta. Oczywiście było później uroczyste rozdanie nagród i zdjęcia do prasy. Jako nagrodę otrzymałam piękny piórnik rzeźbiony we wzory litewskie. Piórnik z całym ekwipunkiem: obsadka, kilka rondówek (tylko nimi ładniej pisałam, dzisiaj nie ma takich, więc bazgrzę okropnie!), ołówek, gumkę, temperówkę. Ten, co otrzymał pierwszą nagrodę, nie przyjechał, więc na zdjęciu byłam z owym trzecim nagrodzonym. Oczywiście wlepiono nas do szkolnej gazetki i na drugi dzień ktoś nabazgrał: „para do ślubu”. Ale tym nie przejmowałam się zbytnio. Gorsze było to, że ów chłopak (chyba nazywał się Czesiek) przyszedł pod moją szkołę, aby się spotkać. Ponieważ byłam tym zaskoczona, powiedziałam, że nie mam czasu, śpieszę się na próbę kółka baletowego, więc umówił się ze mną na jutro pod dzwonnica katedralną. Poszłam raczej z ciekawości, czy rzeczywiście będzie czekał. Był! I... palił papierosa! Ogarnęła mnie zgroza, uciekałam do domu i randki nie było. I potem bardzo długo nie było.

Na wiosnę 1941 roku znów zaczęła się gehenna. Wywózki! Już przedtem wywieziono kilku znajomych mego ojca, a teraz wywieziono znanego lekarza, pana Budnickiego. Została żona z pięciorgiem dzieci bez środków do życia. Potem dwóch księży z parafii, ojca Iwonki W. adwokata. Idąc do szkoły, widziałam przed stacjami domami na Mickiewicza, Jagiellońskiej czy 22 Stycznia samochody-budy, do których wpychano gęsto ludzi. Niektórzy nawet bez podręcznych pakunków. Wywożono do więzienia albo do podziemi sądu na Ofiarnej. A potem?... Na kolej do bydłych wagonów i na wschód! Strach padł na ludzi.

A my dzieci żyliśmy innym strachem. Egzaminami! Pierwszy raz w życiu zdawałam egzaminy. Ale świadectwa, które później miałyśmy otrzymać, upoważniały nas do pójścia do gimnazjum, przedmiotu moich marzeń.

Egzamin z języka polskiego zdałam na piątkę, inne przedmioty na trójkę. Oba języki obce też, bo słabo znałam gramatykę, choć czytałam już i tłumaczyłam po litewsku i rosyjsku całkiem dobrze. Z gramatyką zaś byłam na bakier.

Czekałyśmy na rozdanie świadectw, których Litwini jeszcze nie wydrukowali. A tymczasem wywózki trwały. Ja akurat leżałam chora na anginę, gdy mama wróciła zmartwiona do domu, że wywieźli

doktora Makowskiego, który był naszym domowym lekarzem w Kasie chorych, i nadmienila, że wywieźli go z żoną i synem, a matka i synowa oraz mały wnuczek zostali, bo w tym czasie byli u krewnych w Jerozolimce pod Wilnem. Straszne! Angina moja była ciężka, przeleżałam dwa tygodnie, a w tym czasie mama odebrała moje świadectwo i nagrodę za pracę literacką książkę L. M. Montgomery „Dolina tęczy”.

Żal mi było tego, że nie pożegnałam się z koleżankami, szczególnie z Witą Elwirom, z którą siedziałam przez dwa lata w jednej ławce. I z Klapą... nauczycielem, który powiódł moją duszę w czarodziejski świat wiedzy, rozmiłował w poezji. Właściwie pożegnanie z nim mogę zaliczyć. Było ono po majowym w kościele św. Katarzyny, gdzie chodził, aby spotykać się chyba ze swoją dziewczyną, studentką. Powiedziała mi o tym Lilka R. Poszłyśmy raz tam do kościoła, ale po drodze pokłóciłam się z koleżanką i zawróciłam. Na Wileńskiej akurat spotkałam Klapę, który szedł na majowe. Nie weszliśmy do kościoła, tylko litanię śpiewaliśmy pod kościołem, a właściwie za, bo oświadczył, że nie lubi tłumów.

– Ja też! Najlepiej modli mi się w pustym kościele – powiedziałam. Właściwie przegadaliśmy to całe nabożeństwo. Powiedział mi, żebym koniecznie dalej się uczyła i że... bardzo mu się podoba moje imię, Genowefa, którego nie znosiłam, szczególnie jak Lilka mówiła do mnie Genowefku. Z tego powodu podpisywałam się na zeszytach w skrócie Efka. I Klapie to się podobało się: „Bo do takiego trzpiota jak ty pasuje” – powiedział. Powiedział mi też, że moje imię jest pochodzenia starogermańskiego, że oznacza kobietę szlachetną, dobrze urodzoną i że jest ona patronką Paryża. Zapytałam go, czy on się kocha w Lilce i w innych.

– We wszystkich was się Kocham – powiedział, śmiejąc się. – A Lili jest mi żal. To wielka ekscentryczka.

Ale ja nie wiedziałam wtedy, co to znaczy i byłam zachwycona, że tak wyraził się o niej. Zapytałam go też, czy się boi śmierci. Aż zatkało go na chwile. Patrzył dziwnie, nie mówił długo a potem powiedział:

– Śmierci się nie boję, ale sądu... – Byłam tym poruszona.

Podczas błogosławieństwa uklękliśmy na trawie. Też byłam tym zdziwiona, że nie martwi się o spodnie, że je zniszczy, pobrudzi. Gdy wychodziliśmy, zobaczyłam Lilkę i dwie „aczki”. Machnęłam ręką Klapie na pożegnanie i szybko przeszłam na drugą stronę ulicy. Takie było pożegnanie z Klapą. A z Witą?

Wita była Żydówką. Uczyła się w Konserwatorium, grała pięknie na swoim dużym, błyszczącym Bluthnerze – fortepianie, który dla mnie był czarodziejskim instrumentem. Umiałam zagrać na nim jednym palcem „Kiedy ranne wstają zorze” i „Gęsi za wodą”. Oczywiście ze słuchu. Wita mieszkała niedaleko mnie, w dużej kamienicy, która była własnością jej ojca. Mieszkanie było duże, ładne. Wita miała pokój wraz z bratem, sześciolatkiem Józkiem. W domu była kucharka i niania do Józka. Pożegnałam się z nią zaraz, po egzaminach poszłyśmy na plac Łukiski, poskakałyśmy przez skakanki i obiecałyśmy spotkać się w dniu rozdania świadectw. I nie spotkałyśmy się.

22 czerwca wybuchła wojna Niemców z Rosją. Wita w tym czasie z bratem była u krewnych na wsi koło Mejszagały, gdy we wrześniu wróciła, Niemcy Żydom kazali iść do getta. Matka Wity sprzeciwiła się. Wywieziono ich na Ponary i rozstrzelano wraz z wieloma innymi.

Wojna z Niemcami zaskoczyła nie tyle nas, Polaków, co Litwinów i Rosjan. Paniczną ucieczką wielu działaczy w tamtą noc z 22 na 23 czerwca lamentowano w domu nie tylko u nas. Tę noc pamiętam dokładnie z wszystkimi szczegółami. Rodzice tego dnia byli na dorocznej pielgrzymce w Kalwarii Wileńskiej. Wrócili wieczorem na nieszpory. Już wiedzieliśmy o wojnie, bo przemawiał Mołotow przez radio. Mama pakowała odzież i pościel w węzły, toboły i znosiła do piwnicy w pracowni papy. Wieczorem rozpoczęło się bombardowanie. Potworny brzęk samolotów, łomot broni przeciwlotniczej, łuny pożarów, huk pękających bomb, świsty przerażające, paraliżujące. Strach! Strach przed śmiercią, przed cierpieniem. Ojciec odmawiający różaniec, mama tuląca młodsze dzieci do siebie i pocieszająca, że jak zginiemy, to wszyscy razem, cała dziesiątka! A ja kołysałam ośmiomiesięcznego braciszka w kołysce, trawstowałam wiersz Majakowskiego, ten sam, który tak niedawno deklamowałam na pierwszego maja.

Nie chowało nas pobojuwisko, w twarz nie świecił pożarów kolor.

A teraz mówiłam małemu bratu Kazikowi:

Mały Kaziu, chowa cię pobojuwisko, w oczy razi groźny nieba kolor, a nad twoją sosnową kołyską, warczy wściekły, rozjuszony samolot!

Boże! Jak ja się wtedy bałam! I jak bardzo chciałam żyć! Żyć!

Nad ranem powoli się uspokoiło. Tylko czarne chmury dymów w różnych punktach miasta. Papa stanął przy warsztacie, mama zajęła się gotowaniem obiadu. Zwyczajny dzień pracy? Tak, dla wielu zwykłych ludzi zwyczajny dzień, choć zmieniają się rządy, układy polityczne, giną ludzie, giną idee, rodzą się nowi ludzie, nowe idee. Sąsiadkę zabrano do szpitala. Urodziła córkę. A ja? Co we mnie się urodziło? Wraz z siostrą wybrałam się na plac Łukiski. Dwa lata temu stały tam czołgi radzieckie i żoł-

nierze niepozorni, szarzy, zabiedzeni... A teraz? Czołgi niemieckie. Elegancy, czyści, ogoleni Niemcy, a przy nich polskie dziewczęta z kwiatami w dłoniach. Między nimi koleżanka z klasy Zośka P! Zgroza!

Ulicą maszeruje kolumna żołnierzy. I tych witają ludzie z biało-różowymi bukietami piwonii.

– Idziesz witac Niemców? – pytam zdumiona Zośkę.

– Wyratowali nas od komunistów i od wywózki do Kazachstanu! – odpowiada z satysfakcją. Stropiłam się. Może miała rację? Ale kwiaty? Dla wroga, co zabrał Polskę i stworzył Generalną Gubernię? Nie mogłam tego zrozumieć.

Role się zmieniły. Do opuszczonego w ciągu doby więzienia zaczęli przybywać nowi, inni więźniowie. Komuniści, Żydzi, spekulanci i paskarze. Wilnem teraz rządził gebietskomissar, a rządy rozpoczęły się tym, że wprowadzono godzinę policyjną, znów zaciemnienie, kartki. Każdy mógł wrócić do swojej dawnej pracy: pielęgniarz do szpitala, piekarz do piekarni, urzędnicy na pocztę i niektórzy nauczyciele do szkół powszechnych i zawodowych. Dla mnie osobista klęska. Nie otwarto gimnazjum. Papa kazał mi iść do terminu do krawcowej. Zbuntowałam się!

– Ja źle widzę! I w ogóle mam wstręt do szycia! Ja chcę się uczyć! – ryczałam do poduszki, aż mama wybłagała u ojca, że jestem potrzebna w domu. Ona sobie nie poradzi z dorastającą gromadką dzieci. Ojciec dostał stałą pracę. Płatną na tyle, że można było po zapłaceniu podatków i wykupieniu produktów na kartki dokupić coś na rynku z żywności lub ubrania.

Całą jesień przeżywaliśmy wypędzanie Żydów do getta. Pamiętam Icka i jego dziadka, jak bezradnie pakowali na wózek ubogi dobytek, poganiani przez żandarmów. Icek siedł, tuląc swoje pudło ze skrzypcami, płakał, oglądając się za nędzną suteryną. Wielu znajomych moich rodziców było Żydami. Ojciec z racji swego zawodu miał znajomych tokarzy, kowali, ślusarzy. Mama w młodości pracowała w sklepie u p. Załkinda, znanego handlowca, który miał kilka magazynów na Zawalnej i jeszcze gdzieś. Wielu bogatych Żydów uciekło wcześniej do Szwecji albo Ameryki, ale sporo nie zdążyło i teraz musieli dzielić los z innymi, tymi biednymi. Niektórzy pracowali poza gettem. Tak jak p. Icchok Arnold, który pomagał papie w pracowni. Icchok był synem znajomej mamy, student wydziału sztuki czy architektury na USB, piłował teraz drewno w pracowni papy i nie potrafił rozróżnić rajszpla od sztamajzy, z czego śmiał się mój brat Romek. Ale piłował uctwie dębowe kloce na części, z których wyrabiano piasty. Zawoziliśmy je z Romkiem do tokarza aż na Zarzeczce. Ciężki był wózek, dwukółka załadowana tymi piastami. Nieraz byłam spocona do koszuli, gdy wróciłam z takiej wędrówki. Ale trzeba było pomóc ojcu, trudno! Cały rok szkolny 1941/42 zajęta byłam pracą w domu i pracowni papy. Przyjaźniłam się też z Lilką, ale nie miałam dużej satysfakcji z tej przyjaźni. Lilka była zazdrosna o wszystko. O moje zainteresowania literaturą, o powodzenie wśród grona koleżanek. Byłam lubiana, ona nie. Dziwiłam się, dlaczego? Była wyższa, ładniejsza, miała powodzenie u chłopców. Ale ciągle była samotna, bo kapryśna. Ja natomiast otoczona byłam gromadką chłopaków, kolegów brata. Przychodzili do naszego domu, czytaliśmy książki, graliśmy w warcaby, śpiewaliśmy patriotyczne pieśni. No i na placu graliśmy w piłkę: w palanta, dwa ognie, w siatkówkę. Bardzo chciałam się dalej uczyć, więc bezustannie czytałam książki. Światła nie było, nafty mało lub wcale, więc używano lampek karbidowych. Stała taka śmierdząca lampeczka na biurku. Oświetlała kartkę papieru, na której skrobałam swoje myśli. Nowelki i wiersze lub notatki w dzienniku. Albo czytałam. Prowadziłam nawet dziennik lektury. Wynotowywałam wiadomości o autorze, główną myśl książki, wypisywałam cytaty, ważniejsze myśli autora. Miałam chyba cztery zeszytiki tych lektur.

Lilka od jesieni (chyba listopada) zaczęła uczęszczać na prywatne lekcje z zakresu gimnazjum. Mówiło się, że „chodzi na komplety”. Zaczęłam wybłagać mamę, aby i mnie pozwoliła się uczyć na kompletach. Opłata była dość wysoka jak na nasze możliwości. 20 marek lub 200 rubli (obie waluty były ważne podczas okupacji niemieckiej).

Po nowym roku na imieniny mama dała mi 200 rubli, abym się zapisała do tego tajnego gimnazjum, i zaznaczyła, że w młodości rodzeństwo mamy też uczyło się na tajnych kompletach. Jak widać losy się powtarzają.

Co to była za radość, gdy pierwszy raz poszłam na ul. Jacka 5 do profesora Dubickiego! W stylowym drewnianym dworku z ogrodem dookoła było tak uroczo, tajemniczo i przytulnie. Byłam zdumiona, że tajne komplety odbywają się pod „okiem” niemieckich oficerów wehrmachtowców, którzy zajmowali dwa pokoje na piętunku willi.

Żona profesora uczyła języka niemieckiego, geografii i historii powszechnej, a prof. Dubicki łaciny, matematyki, fizyki i chemii. Języka polskiego uczył prof. Sienkiewicz.

Nasza klasa liczyła jedenastu uczniów: cztery dziewczyny i siedmiu chłopaków od 14-18 lat. Dziewczęta były w jednym wieku, to znaczy urodzone w 1927 roku, ale ja z nich wyglądałam najdzieciniej, więc łączono mnie w parę z czternastoletnim Heniem. A ja przecież tak byłam dumna ze swoich skończonych piętnastu lat. Wszyscy byli bardzo ważni i zarozumiali, szczególnie dziewczęta Lala E., Marysia Z, no i Lilka R. Chłopcy byli trochę inni, szczególnie bracia Gryzelbwie, często pozwalałam im „zwalić” od siebie zadania domowe z gramatyki lub stylistyki. Wśród chłopaków był autentyczny hrabia. Chodził w pumpach, kraciastej marynarce, krawacie i wysoko zadzierał nosa. Patrzył na mnie

jak na plebs, który nie wiadomo po co pcha się do wiedzy. A szczególnie, gdy w grudniu na sankach przywiozłam worek trzasek na podpałkę do kuchni pani profesor oraz w siatce ogromnego królika belga, bo tymi to darami w naturze mogłam opłacić chesne za grudzień. Każdy miał jakieś pseudo. Mnie nazywano Afrodytą, widocznie byłam nijaką, najbrzydszą z koleżanek, a Lilkę Sybillą, chyba dla jej ognistych oczu. Czy ja wiem? Później dowiedziałam się od jednego starszego kolegi (tuż przed małą maturą), że tak mnie nazwano za moją zgrabną figurę i ładne piersi. Coś takiego! Nigdy mi to na myśl nie przyszło w owym czasie, że mogłam mieć coś ładnego. Wówczas amory i strojenie się miałam w nosie. I moich kolegów, do których Lilka i Marysia strzelały oczami. W nosie chyba też miał ich sam profesor, bo widział, że nie przykładają się zbytnio do nauki, a te komplety traktują jak zebrania towarzyskie, a także wzajemne adoracje. Do wszystkich zwracałam się per kolego czy koleżanko i nie pozwalałam się „tykać”. Po imieniu mówiłam tylko do Lilki, ale też nie zawsze, gdy się gniewaliśmy mówiłam do niej „donia Eulalia”, bo tak nazywała się jej prababka, którą żołnierz polski w służbie Napoleona przywiózł sobie z Hiszpanii.

Zajęta nauką, zdobywaniem każdego dnia nowych, ciekawych wiadomości, mało przejmowałam się tym, że jestem niedostrzegana przez uczniów, a nawet profesorów. Ale po pół roku zmieniło się. Pewnego razu prof. Sienkiewicz zadał przeczytać dwie ballady Mickiewicza: „Lilie” oraz „Świteziankę”. Słyszając to, bezwiednie zaśmiałam się i powiedziałam do Marysi:

– Coś takiego! Przeczytać! Ja to umiem na pamięć! I inne!

– A któż to taki się chwali? – trochę kpiąco zapytał profesor.

– Ja, ale wcale się nie chwale, tylko podaję do wiadomości.

– Ach, tak! To proszę nam zadeklamować – no dajmy na to „Czaty” – dalej kpił profesor z zarozumiałej uczennicy.

– Proszę bardzo. Z miejsca, czy przy tablicy? – Zapytałam rzeczowo, bo przecież tak nieraz recytowałam, gdy odpytywał Kłapa.

Poprosił pod tablicę. Więc wykazałam cały swój kunszt recytatorsko-dramatyczny, bo odtworzyłam scenę, w której grał nieszczęsny wojewoda, jego „nieuczciwa” żona i jej kochanek oraz „szczenie hajducze”, czyli pacholek pana wojewody.

Profesor słuchał z zainteresowaniem, klasa – jak zamarła. Nawet zarozumiała hrabia patrzył na mnie, jak na kogoś innego. Oczywiście oklaskiwano mnie jak należy, wołali bis, więc powiedziałam jeszcze „Romantyczność”. Słuchaj dziewczenko!... udając Mickiewicza, który usiłował przekonać potomność o swych ideach, które zawarł w balladzie, mówiąc że „czucie i serce więcej dla mnie znaczą, niż mędrca szkiełko i oko”.

Bardzo często wersy przekręcałam i kończyłam swoimi słowami, ale nie zawsze ktoś się połapał. W tym wypadku chyba tylko profesor, ale on bił brawo najmocniej i potem przyznał się, że za mało od nas wymagał uczenia się utworów na pamięć. I że... teraz się poprawi dzięki mnie! Ale moje grono nie miało za złe, że będą zmuszeni teraz nadprogramowo uczyć się więcej. Chwyciło. Po kilku dniach jeden z „gryzelków”, chyba Janek, nauczył się ballady „Panicz i dziewczyna”. Zainscenizowaliśmy ją na lekcji ku uciesze innych. Urosłam nieco w oczach kolegów, ale nie Lilki. Złośliwie mi coś przgadała, co puściłam mimo uszu. Przed każdym kolejnym miesiącem przechodziłam męki Tantalusa z niepewności, czy zbieram potrzebną kwotę na opłacenie lekcji. Zarabiałam je w różny sposób: przynosząc kosze jarzyn i owoców na targ handlarce p. Łucji, myjąc schody właścicielowi sąsiedniej kamienicy, dawałam korepetycje dzieciom sąsiadów. Mając młodsze rodzeństwo, uczniów klas I-IV, przeglądałam zeszyty, poprawiałam błędy i szybko zorientowałam się, że sposób nauczania w „takich” szkołach nie podniesie poziomu umysłowego mego rodzeństwa. Zajął się dokształcaniem braci i siostrzyczki Niusi. Na swój sposób, widocznie miałam wrodzony talent pedagogiczny. Z pomocą liczmanów i różnego rodzaju pomocy naukowych (przeważnie wyciętych z kartonu lub starych gazet) nauczyłam ich szybko tabliczki mnożenia i dzielenia, a także ułamków, które tak ciężko dzieci przyswajały. Nic dziwnego! Nauka polegała na wyobraźni. Moje rodzeństwo poprawiło stopnie. Mały nieuk Ziutek dostał czwórki z rachunków. Rozniosło się to po okolicy i odtąd co tydzień „kosiałam” po 2 marki od nauczonego łebka. Byłam dumna z siebie, mama chyba też, bo nawet dwa razy pożyczylam jej po 10 marek na mleko, które brałyśmy od jednej posiadaczki... kozy. Pani Kasejwisowa, Litwinka, mieszkająca nad Wilią hodowała kozy. Nie znosiłam tego zapachu! Obrzydliwość, ale mleko było zdrowe i kto wie, czy w tamtych czasach nie uratowało nas od anemii i krzywicy?

U nas w domu zawsze było pełno dzieci. Naszych i cudzych. Uczyłam je zimą religii i śpiewu. Czytałam baśnie, legendy Oskara Miłozza i Władysława Zahorskiego. Na każdą rocznicę wyuczałam nową pieśń. W rocznicę powstania styczniowego dzieciaki śpiewały „Wy, do boju pośpieszajcie, walczni młodzieńcze”, na 3 Maja „Witaj majowa jutrzeńko”, w rocznicę śmierci Piłsudskiego „To nie prawda, że ciebie już nie ma, to nie prawda, że jesteś już w grobie, chociaż płacze dziś cała polska ziemia, cała polska ziemia w żałobie!”. Na 15 sierpnia „Raduje się serce, raduje się dusza”, a na 11 listopada „Jak to na wojence ładnie”, „Przybyli ułani pod okienko” i wiele innych. Te wszystkie, które sama poznałam w szkole przed wojną, na koloniach, półkoloniach albo od papy, z którym śpiewałam

w pracowni, gdy pomagałam mu w pracy. I pomyśleć, że ta moja „tajna szkółka” rozwijała się tuż przy więziennym murze, wtedy gdy niemal każdej nocy i każdego dnia były rewizje. Wpadali żandarmi, wołali raus i kazali stać pod ścianą pokoju, a sami szperali po całym mieszkaniu, zaglądali pod łóżka, do szaf, za zasłonkę w kuchni, a czasem dziwili się: ah! Viele Kinder! Ein, zwai, okei! – acht – podpowiadałam. Mein Papa ist gut Mensch! – zaśmiewali się i zawracali, a w tym czasie bardzo często był ktoś obcy w domu, niezauważalny wśród czeredy dzieciaków. Oczywiście uciekinier z więzienia czy z getta. Papa mówił, że strzeże nas Bóg, bo wszyscy mamy litościwe serca. Może?

Chodzenie na komplety bardzo często było przerywane łapankami. Mama wtedy nie pozwalała wychodzić mi z domu. Gdy wyszedł przykaz „rejestrowania się młodzieży” do wyjazdu „na pracę w Rzeszy” i nie wszyscy się zarejestrowali, rozpoczęły się łapanki. Ci, co się sami zgłaszali, mieli jakieś ulgi, przywileje. Moi trzej kuzyni też się sami zgłosili. Niektórzy krewni i znajomi zarzucali cioci Zosi, że na to pozwoliła, że to „współpraca z wrogiem” i tak dalej. Ja też myślałam podobnie. Później okazało się, u cioci na zaułku Bernardyńskim była przez całą okupację niemiecką skrzynka kontaktowa AK.

Zima 1942 roku była okropna. Na północy bronił się Leningrad, na stację przychodziły pociągi pełne rannych. Kilka szkół średnich zamknięto i zamieniono na szpitale. Wiele dziewcząt wileńskich było zatrudnionych jako pielęgniarki, między innymi dwie moje starsze koleżanki z dawnego chóru pani Błasikowej Wicia i Stasia J. Tej zimy przeżyłam dwa wydarzenia, które bardzo mnie poruszyły. Żydzi wtedy przeważnie byli w getcie, ale jeszcze widziało się gromadki ciągnące na wózkach swój dobytek w stronę ulicy Starego Miasta, gdzie znajdowało się getto. Do opuszczonych przez nich domów dobierali się rabusie, wyciągając, co się da. Niemcy stosowali ostre represje. Czasem Żydzi sami prosili znajomych Polaków o opiekę nad domami, powierzając im swoje klucze. Na takich konszachtach przyłapano Żyda i Polaka. Obu powieszono na placu Katedralnym, na olbrzymim kasztanie po lewej stronie fasady katedry.

Akurat tego dnia z bratem pchałam dwukółkę naładowaną piastami, które wieźliśmy do tokarza. Z daleka zobaczyliśmy dwie postacie wiszące na sznurach z kartonem na piersiach informującym, za co zostali straceni. Szybko przejechaliśmy plac, udając się w kierunku ul. św. Anny, a potem na Zarzecze. Byliśmy poruszeni do głębi. Nie mogłam tego dnia jeść kolacji, choć byłam głodna, nie mogłam spać. Długo siedziałam przy karbidówce nad dziennikiem, notując swoje przeżycia.

W parę tygodni miałam znów przeżycia związane z placem Katedralnym. Akurat po silnych mrozach zelało nieco i spadł śnieg. Kopiasty, puszysty, prawie do kolan. Takie śniegi to dziś legenda. Wysoką warstwą pokrył ulice, chodniki, place. Do sprzątania wygnano jeńców rosyjskich i więźniów. W mig zrobiono porządkę i główne ulice wyglądały jak lodowe kaniony. Jechałam do cioci Zosi, wioząc na saniach worek trzasek i wiórów do kuchni na podpałkę. Zauważyłam sporą grupkę ludzi przed katedrą, coś obserwującą. Zadrżałam z lęku, myśląc znów o powieszonych, ale dostrzegłam coś innego. Postać ze śniegu! Podeszłam bliżej, ciągnąc za sobą sanki i... oniemiałam z zachwytu. Jakiś niemiecki żołnierz ze śniegu lepił rzeźbę. Już był gotowy postument i fragment konia, którego artysta stojąc na drabince sprawnymi rękami formował. Lepił rzymską kwadrygę. Obok stało wiadro z ciepłą wodą, zanurzał ręce i już spod nich wychodziły głowy koni z rozwianą grzywą. A potem formował postać jeźdźcy trzymającego wodze. Dwóch innych żołnierzy podawało śnieżny materiał, z którego rzeźbiarz tworzył to krótkotrwałe чудо. Pomyślałam wtedy z żalem, że taki zdolny człowiek oderwany chyba od studiów, musi gdzieś w dalekim kraju pełnić niechcianą służbę dla ojczyzny. I być gotowy na każdy rozkaz zwierzchników. Byłam wściekła na Hitlera, na wojnę, na cały ten bałagan na świecie. Potem, gdy wracałam od cioci, jeszcze raz rzuciłam okiem na rzeźbę. Była prawie na ukończeniu. Mróz swoją mocą czynił ją szklistą, lśniącą, bajeczną i groźną. W mojej głowie zaświtała naraz nutka ironii. Po przyjeździe do domu siadłam do biurka i napisałam wiersz „Kwadryga na placu Katedralnym” (w załączeniu).

Dni płynęły. Nadeszła wiosna, a z nią moje ulubione święto Wielkanoc. Mama mnie i siostrze uszyła nowe sukienki z materiału na kartki. Były z marnego sztruksu, granatowe, sztywne, ale kołnierzyki zrobione przez mamę szydelkiem jakoś je zdobiły. Nawet moja Lilka pochwaliła mnie, że ładnie wyglądam w tej sukience z białą kokardą w warkoczu. Dostałam „na zajęczka” pierwsze cienkie pończochy, fildekosy. Byłam tym bardzo przejęta i spoglądałam na własne nogi, jak na nie swoje. Po Wielkanocy ostro zabrałam się do nauki, bo chciałam zaliczyć dwie klasy gimnazjum. Udało mi się. Wprawdzie z przedmiotów ścisłych miałam tróje, ale z polskiego oraz języków czwórki.

Rodzeństwo też z dobrymi ocenami przeszło do następnej klasy. Jadzia miała wszystkie piątki, nawet z niemieckiego, i powiedziała, że to wstyd, mieć tak dobrą ocenę ze szwabskiego.

- Coś ty? Musisz być dumna, że Polki są takie zdolne do języków obcych. A co masz z litewskiego?
- Też piątkę – powiedziała ze smutkiem.
- No widzisz! Jesteś zuch! Będzie z ciebie dobra poliglotka.
- Poli... co?
- ..glotka! – śmiałam się.

W ogóle starałam się dużo śmiać, szczególnie gdy burczało w brzuchu z głodu. Brat mój Romek też był wiecznie głodny i starał się jakoś zarobić parę marek, by kupić na rynku drewnianym kawałek babki

kartoflanej albo kiszki nadziewanej kaszą czy tartymi ziemniakami. Okazało się, że nie chodził do szkoły, a z kolegą Jaśkiem Gajewskim sprzedawali irysy i krówki, które fabrykowała mama Jaśka. Oczywiście zaważył rok. Został w szóstej klasie. Papa do tego podszedł rzeczowo.

– Ile zarabiałeś u pani Gajewskiej?

– No... niedużo. Czasem dała na kino.

– U mnie będziesz dostawał dniówkę 50 fenigów. Do szkoły nie pójdziesz, jak nie chcesz się uczyć. Będziesz pracował, bo praca nauczy cię być człowiekiem. Dość latania z chuliganami.

Romek więc rozpoczął naukę zawodu. Wstawał o siódmej, jadł śniadanie – talerz zupy z pajdą chleba i szedł do pracowni. Wykonywał wszystkie polecenia, drobne prace w rodzaju wiercenia otworów do piast, heblowania drażków czy szczebli do drabin wozów.

O siódmej rano do pracowni przychodził Cerber, czyli Herr Jurt (nazwiska nie zapamiętałam), który doglądał pracy papy. Był całkiem do rzeczy człowiek, Ślązak, więc trochę mówił po polsku, ale od lat nie mieszkał na rodzinnej ziemi tylko w Hamburgu. Był żonaty, miał dwóch synków, trzeci zmarł tuż przed wojną. Ów synek był bardzo podobny do naszego brata Ziućka, więc pan Kurt bardzo go lubił i jak dostał paczkę z domu, zaraz coś przynosił Ziućkowi, mamie, a nawet mnie, bo lubił słuchać jak śpiewam podczas sprząwania w pracowni. Gdy przyszedł pierwszy raz i zobaczył na ścianie w pracowni krzyż, obraz serca Jezusowego i św. Franciszka (papa był w III zakonie, nosił nawet habit!), to zaraz zdjął czapkę i powiedział:

– Herr Meister, Sie sirid gut Mensch!

Na wiosnę 1943 roku przeżyłam znów szok. W Starym Ratuszu na Wielkiej Niemcy zrobili wystawę Czerwonego terroru. Być może dlatego, że dostawali łupnia od partyzantów polskich i rosyjskich. Chcieli nas Wilnian zniechęcić do komunistów? Chyba nie, bo i tak my wiedzieliśmy swoje. Poszłam z papą na tę wystawę. W gablotach leżały zdjęcia pomordowanych polskich oficerów, których groby Niemcy odkryli w Katyniu. O tych grobach to moi rodzice wiedzieli już w 1941 roku, bo stamtąd uciekł jeden Białorusin, który zakopywał trupy, a jego ruscy nie zdołali zlikwidować. Mama wtedy zakazała mi o tym wspominać (ja przypadkowo usłyszałam tę rozmowę). A teraz na własne oczy zobaczyłam różne pamiątki zamordowanych: zdjęcia rodziny, strzępki listów, różańce, medaliki, dowody osobiste. Słowem to, co udało się znaleźć w ubraniach pomordowanych. Bardzo długo miałam w pamięci okropny krzyk, nie, to było wycie oszalałej z bólu kobiety, która rozpoznała swoje zdjęcie z dziećmi, które dała mężowi przed wyjazdem na wojnę. Patrzałam tępymi oczami na te tragiczne pamiątki i męłam w ustach ironiczne słowa:

– Ein Hund, wtaraja sobaka! – bo przecież mieszkałam przy więzieniu i codziennie byłam świadkiem okropnych scen pod nim, pod bramą. Tłumy ludzi na mrozie oczekiwali na przyjęcie paczki dla tych, co byli za tym murem, za bramą. I później te budy ze stłoczonymi postaciami jadące nie wiadomo gdzie: czy do obozów, czy na Ponary[†]? Któregoś dnia później wracałam z piekarni z pełną siatką chleba wykupionego na cały tydzień dla rodziny. Zatrzymałam się przy krawężniku, bo przechodziła kolumna jeńców rosyjskich. Jak oni wyglądali! Obrośnięci, wychudli, ledwo włożyli nogami w drewniakach, które stukały po bruku.

Prawie każdy zwracał uwagę na moją siatkę z chlebem i grubą piętęką w rękę, którą gryzłam. Przeszedł ostatni szpaler, a za nim konwojent, młody Niemiec. Psy wyprzedziły go o parę metrów. Niepostrzeżenie wcisnęłam piętękę chleba w rękę przechodzącego młodego jeńca. Niemiec to zauważył. Uśmiechnęłam się do niego.

– Er ist jung, wie ich... – szepnęłam prosząco. O, dziwo! Udał, że nie widział mego czynu, czy też nie, ale minął mnie w milczeniu. Przeszłam na drugą stronę i jeszcze popatrzyłam na Niemca, czy nie robi co złego temu Rosjaninowi? Ale Niemiec szedł ze spuszczoną głową. Obojętny? Czy smutny tak samo jak ja?

Od sierpnia 1943 roku śpiewałam w chórze kościelnym, w naszej parafii. Zachęcił mnie do tego ks. proboszcz, który był u papy z jakimś zamówieniem (chyba zrobienia kraty do winorośli). Usłyszał, jak śpiewałam piosenki, zbierając trzaski na opał i powiedział.

– Córeczka, słyszę, ma ładny głos. Może by tak przyszła śpiewać do chóru?

Boże! Toż to było moje marzenie! Oczywiście zaraz się zgłosiłam i zostałam chórzystką w „schola gregoriana”, którą prowadził organista pan Paweł Podejka. Dziewczynek było jedenaście, ja – dwunasta. Apollo i 12 muz! – przezwaliśmy chór i jego mistrza. Nie od razu mnie polubiły czupurne dziewczęta, ale do świąt Bożego Narodzenia stałyśmy się już przyjaciółkami. Śpiew gregoriański oczarował mnie. Psalmi, antyfony, hymny, które poznawałam na każdej próbie, były przepiękne i wcale nie sprawiały kłopotu, bo już dwa lata uczyłam się łaciny, stąd nie robiłam błędów fonetycznych, wiedząc jak się wymawia poszczególne głoski same i w zestawieniu z innymi! Prócz śpiewu miałyśmy lekcje teorii oraz katechezy. Okazało się, że przy kościele bujnie kwitnie życie kulturalne. „Pracowała” biblioteka parafialna, oczywiście konspiracyjna, wypożyczałam mnóstwo ciekawych i mądrych książek.

[†] Lasy, w których mordowali więźniów.

Ks. Paweł Piekarski dziekan parafii urządzał „Koncerty”, spotkania towarzyskie z okazji świąt w całym roku kościelnym. Najuroczyściej – Dzień Świętej Cecylii, patronki muzyki śpiewu kościelnego. Udział w koncertach brali z nami artyści, którzy w Wilnie przeżywali okupację Stanisław Szpinalski, Zygmunt Suchodolski, Leopold Nowosad, Bernard Ładysz, Jerzy Jasiński, Relanowa i Lidia Skowron. Cudowne chwile słuchania muzyki w starych murach dawnego klasztoru Dominikanów, grubych, niedostępnych, w salce o gotyckim stropie, pod który wzbijały się dziewczęce głosiki melodią: „Gaudę Mater Polonia”, „Bogurodzicy” czy chóru czterogłosowego „Cześć polskiej ziemi cześć!” albo Poloneza A-dur Chopina, którego grał pan Staś, czy pieśń o pięknej Hiszpance, którą śpiewała pani Pelarowa.

Niezapomniane chwile, gdy deklamowaliśmy wiersze, gdy po raz pierwszy usłyszałam poezje Norwida, Wierzyńskiego, Lechonia i młodego Kamila Baczyńskiego, którego odpisy krażyły wydawane w konspiracyjnych gazetkach. Księdzu dziekanowi i panu Pawłowi zawdzięczam cudowny okres dzieciństwa, gdy dokoła tyle działo się okropnych rzeczy. Tyle krwi i łez... Tyle smutnych rozstań... Aresztowanie biskupa Romualda Jabłrzykowskiego, ks. Bichawskiego, lęk o starsze koleżanki, które były przez gestapo złapane w ulicznej, szczutej psami gonitwie. Modlitwy o powrót... długie modlitwy dziecięce i wiara... wiara w lepszą przyszłość. To wszystko dane nam było, małej gromadce dzieci: chórzystek i ministrantów przy kościele świętego Jakuba.

A potem wiosna 1944 roku. Moja mała matura. He przeżyć i radości, gdy ją zdałam, gdy przyniosłam małą kartkę z podpisami profesorów i pieczętką prymitywnie zrobioną. Pokazałam mamie, a ta aż się rozplakała.

– Zuch córca! Ciężko było, ja wiem, ale niech Bóg wynagrodzi twoich nauczycieli i tych z Jacka 5, i tych z kościoła św. Jakuba. – O to samo ja się modliłam...

Potem było powstanie...

Dwa tygodnie walk o Wilno, ruiny, spalone domy, zniszczenie, rany i mogiły... na placu Łukiskim, na skwerkach, na stokach wzgórz wileńskich. Przez półtora miesiąca pracowałam w szpitalu PCK, spełniając najniższe usługi tym, którzy krew przelali za Wilno. „Mała Siostra”^{*} nazywano dawną czupurną „Efkę przez F” – jak to powiedziała Klapie. Z dziecka patrzącego radosnymi na świat oczami przeistoczyłam się w czułą, wyrozumiałą poważną opiekunkę cierpiących, gotową służyć na każde zawołanie. Zapracowana w szpitalu nie miałam czasu, aby spotykać się z przyjaciółmi z chóru, ale gdy pewnego razu spotkałyśmy się w kościele na mszy, byłyśmy takie szczęśliwe, że wszystkie znów jesteśmy razem, pan Paweł, ksiądz dziekan też.

Zginęło tylko dwóch ministrantów, którzy byli łącznikami podczas powstania. Spalił się też dom Halszki, naszej koleżanki. Lilka R. była w partyzantce i o... zgrozo! ścięła takie piękne, długie warkocze. A my... my nie ścięłyśmy. Wszystkie cztery aż do wyjazdu z Wilna miałyśmy warkocze.

Jesień 1944 roku... zmieniły się role. Teraz przy odgruzowaniu Wilna pracowali jeńcy niemieccy. Ale nie wyglądali jak łachmaniarze. Ogoleni, schludni, rzetelnie, systematycznie usuwali gruz, oczyszczali chodniki. A my tymi chodnikami biegłyśmy rano do gimnazjum na Ostrobramską.

Znów uczyłyśmy się! Co za radość! W polskim gimnazjum! Znów był głód. Zimno. I... strach przed wywózką, jak na wiosnę 1941 roku. Znów więzienie zapełnione ludźmi – faszystami, jak głosiły gazety. Znów długie szeregi ludzi stojących pod bramą, aby podać paczkę.

Jak zaznaczyłam, znów był głód. W szkole na drugie śniadanie dostawałyśmy ćwiartkę chleba i 10 deko cukru. W szpitalu też dostawałam taką zapłatę, jeszcze 5 papierosów, które oddawałam chorym partyzantom. A teraz chlebem dzieliłam się z wieczniami głodnymi koleżankami, cukier zносиłam do domu, dla naszych maluchów. Papa nie miał pracy. Dopóki miał materiał, robił trumny, był to bardzo chodliwy towar. Do późnej jesieni trwały ekshumacje, więc trumny były potrzebne. Płacono wprawdzie rublami, ale często też i w naturze: ziemniakami, zbożem, kaszą, więc w porównaniu z moimi koleżankami nie cierpiałam głodu tylko „tęsknotę” za masłem, odrobinką wędliny i kawałeczkiem kury lub wieprzowiny w zupie. Ale mięso, ta mała drobina, na której mama gotowała krupnik czy grochówkę było tylko dla ojca, aby nie opadł z sił, bo jak przedtem wstawał o trzeciej do pracy i do późnego wieczora był przy warsztacie.

W gimnazjum był chór czterogłosowy. Prowadził go bardzo miły profesor pan Sulikowski. Uczenie się pięknych polskich pieśni Nowowiejeskiego, Maklakiewicza, Kazury było dla mnie najcudowniejszą ucztą duchową. Z trudem dzieliłam siebie na dwa chóry: kościelny i gimnazjalny, ale jakoś radziłam. Chór gimnazjalny był podporą finansową dla szkoły, bo nasze występy po zakładach pracy, w szpitalach wojskowych czy teatrze opłacał rząd republikański. Pamiętam, jaka byłam dumna, gdy przyniosłam mamie 250 rubli za występ w teatrze „Lutnia”. Mama wzięła tylko 100 rubli na opłacenie krawcowej, która mnie i Jadzi szyla bluzki ze spadochronowego jedwabiu, resztę mi oddała. Cieszyłam się, bo miałam czym opłacić prywatne lekcje muzyki, jakie od września 1944 roku pobierałam u pani Emmy Altberg.

* Opisałam to we wspomnieniach pt. „Mała Siostra”

Zycie kulturalno-oświatowe nadal kwitło w chórze kościelnym. Koncerty odbywały się teraz w kościele, były normalne afisze i często na nich było sporo żołnierzy rosyjskich. Pamiętam śmieszne wydarzenie w styczniu 1945 roku. Było już po wyzwoleniu Warszawy, dwa chóry nasz i katedralny dawały koncert kołęd.

My ze szkoły gregoriańskiej też brałyśmy udział, śpiewając antyfonę „Haec dies” oraz hymn „Alma Redemptura”. Kościół pełen ludzi. Na ambonie w przerwie koncertu ks. Jan Kozak głosi piękną homilię o ludowości polskich kołęd. Naraz słyszymy zniecierpliwiony głos jakiegoś żołdaka, donośny, bo stare wileńskie kościoły mają świetną akustykę.

– Chwatit propagandy, dawaj kanciert! – Koleżanki wraz ze mną parsknęły śmiechem. Nawet zawsze poważny organista katedry p. profesor Władysław Kalinowski też zaśmiał się. Ksiądz zakończył „propagandę”, a chóry rozpoczęły piękną kołędę „Bóg zawitał w ludzkim ciele...”.

A potem przyszła nowa zgorza. Repatriacja. Już w końcu lutego odszedł pierwszy transport. Zajęta sprawami nauki i śpiewaniem, myślałam, że wyjadą ci ludzie, którzy do Wilna przybyli, uciekając przed Niemcami. Tak było z pierwszymi transportami, bo wyjechali artyści teatru „Lutnia”, Sempoliński, Hanka Bielicka, Żejrówna, Brusikiewicz, Smiałowski i niektórzy profesorowie gimnazjum oraz Uniwersytetu im. Stefana Batorego.

Rodzice jednak uświadomili mi, że wyjeżdżać muszą wszyscy, którzy nie chcą przyjąć obywatelstwa sowieckiego. Moi rodzice nie chcieli, a ich raczej dla nas były święte. Zresztą, co mi po Wilnie, jak zabraknie w nim moich ukochanych przyjaciół? Tak mi się początkowo wydawało.

Rzeczywistość była okrutna. W końcu lutego była okropna łapanka. Aresztowano chyba 5000 mężczyzn. Wywieziono dużo znajomych nam osób, przeważnie inteligencję, harcerzy. Wszyscy twierdzili, że to była gorsza łapanka, jak za Niemców. Akurat wtedy śpiewaliśmy na sumie, Enkawudyści stali przed drzwiami kościoła, sprawdzali dokumenty. Niektórych zatrzymywali. Całe szczęście, że przez małe okienko na korytarzu chóru zauważyłam to i ostrzegłyśmy pana Pawła i starszych chórzystów. Wyszli z kościoła długim ciemnym korytarzem wiodącym do ogrodu i potem, przez gospodarcze zabudowania, małą bramką wydostali się na pustą uliczkę nad rzeką. Bezpiecznie dotarli do swoich domów.

W kwietniu odszedł następny transport. Wyjechało sporo profesorów z Konserwatorium. Moja nauczycielka p. Emma Altberg także, zabrakło też na dorocznym „święconym” pana Jurka czy pana Stasia, który muzyką Chopina umiłał nam spotkania towarzyskie.

W pewien majowy wieczór po nabożeństwie wyszłam z koleżankami z kościoła, aby przejść się kawalek „po deptaku”. Na placu Łukiskim stały ciężarówki, na nich rosyjscy żołnierze grali na akordeonach, a roześmiane żołnierki tańczyły, jak wariatki.

– Co im tak wesoło? – zapytałam.

– Ty nie wiesz? Wojna się skończyła! – powiedziała Halszka pochmurnie.

– Tak? Jak fajnie! A ty nie cieszysz się? – zdziwiłam się, widząc zachmurzoną ładną twarzyczkę koleżanki.

– Czego mam się cieszyć? Komu fajnie? Dla nas i tak ciągle niewola!

Spochmurniałyśmy wszystkie. Halszka miała rację. My ciągle byłyśmy w niewoli, na własnej rodzinnej ziemi. Tu krew nie przestała się lać! Tu ciągle były walki partyzanckie, a więzienia pełne głodujących ludzi.

Od paru miesięcy prowadziłyśmy korespondencje z chłopakami wywiezionymi do Kaługi i Miednik. Zachęciła nas do tego ciocia Iruśki, której syn był w Irednikach pod Moskwą. Irka nawet poprosiła, abym ja napisała do niego, w jej imieniu. Zrobiłam to. Zaproponowałam, aby do mnie napisał Juliusz, bo uwielbiam to imię. Chłopcy ci to byli nasi „rycerze”, a mu ich „damy” pocieszające w niedoli dobrym słowem i nadzieją nieszczęsnych niewolników. Do mnie pisali dwaj starsi ode mnie o kilka lat: „globus”, czyli Heniek Sitkowski, i Julek Uszka. Ten drugi był mi bliski duchem, bo też pisał wiersze i lubił muzykę. Listy wymienialiśmy cały rok. W grudniu chłopaki wyjechali do Polski. Jeszcze w latach czterdziestych pisałam do nich. Później pożenili się, kontakty się urwały. Wszystkie żony są zazdrosne o dawne, chociażby najczystsze przyjaźnie. Trudno, pozostało mi pięć „trójkątnych listów”, symbol tamtych czasów, listów pisanych na pakunkowym papierze, ogryzkiem ołówka, Dziś są zatarte, ledwo do odczytania, ale to przecież tragiczny dowód ludzkiego cierpienia, tęsknoty do ludzkiego normalnego życia, tęsknoty do rodzin, matek, żon, narzeczonych. Do domu! Domu!

„Milutka Efcui” – pisał Julek, „Drogi łobuzie Gencio!” – pisał Heniek „Sympatyczna koleżanko” – pisał Asiek, a ja odpisywałam w miarę dowcipnie i serdecznie, opisując nasze dziewczynskie kłopoty, życie, które wcale nie było radosne, bo wisiało nad nami widmo wyjazdu w nieznane. W jesieni wyjechał do Polski pan Paweł, wielu księży, ministrantów i dwie moje przyjaciółki Halszka i Halunia. Ostatnia wigilia w Wilnie była nieco lepsza, jeśli chodzi o jadło. Mama usmażyła kotlety z płoką, był też śledź, ale okropna ze względu na przeżycia moralne. W więzieniu podpalono starą, piękną cerkiew, która przez ostatnie lata była kościołem katolickim. Kłęby dymu unosiły się nad złożonymi kopułami, oplatały krzyż, a pijani żandarmi rechotali, że „Boh pali się!” Z więzienia dochodziły strzały, jęki ludzi.

Mama płakała, nikt nie śpiewał kolęd. Było posepnie, starsze dzieci milczały, tylko najmłodsze Wandzia i Kazik cieszyły się z drobiazgów, jakie znalazły pod choinką. Jak zawsze. Mimo wojny, i biedy.

Na wiosnę wyjechały dwie moje ostatnie przyjaciółki. Iruśka z chóru i Żenią J. z gimnazjum. Mama załatwiła sprawy z wyrobieniem karty ewakuacyjnej. A ja z moją siostrą Jadzią po lekcjach w gimnazjum chodziłyśmy po Starym Mieście, zaglądałyśmy do kościołów, których tak dużo było w Wilnie. Zegnałyśmy je, tak jak te wszystkie wąskie uliczki, urocze, choć ciasne i nieraz brudne, zaniedbane, ale tak bliskie sercu. Tak bardzo nasze!

Z góry Trzykrzyskiej posłałyśmy tęskne spojrzenia na północną stronę miasta, a z Zamkowej na południową i wschodnią. Tam daleko cmentarz Bernardyński z grobami pradziadków, babć, kuzynów i małego braciszka Michasia. Jak ciężko zostawiać te groby na niepamięć, na zatracenie. A tam dalej cmentarz Rossa z Sercem Tego, co ukochał Wilno...

Patrząc tak na miasto naszego dzieciństwa zaśpiewałyśmy pieśń, którą ułożyła koleżanka z gimnazjum, Iza Gulbińska.

Zegnaj, Wilno, miłe miasto rodzinne. Tak drogie, no i inne Niż setki innych miast. Tutaj radość i dziecinne nasze lata. Kwitfy tak jak wodny kwiat Wśród murów twych i chat. Odchodzę tłumiąc żal z perlistą łzą na smutną dolę mą.

Zegnaj Wilno! Zegnaj stary domu, przy więziennym murze, żegnaj dzieciństwo!

* * *

„Co nam zostało z tych lat, miłości pierwszej”... często słyszę głos z radia śpiewający stary romans. Śpiewak dawno nie żyje. Piosenka żyje, bo jak powiedział poeta „pieśń ujdzie cało”.

Pieśń o pożegnaniu Wilna do dziś śpiewamy z siostrą na każdym spotkaniu rodzinnym. Co nam zostało z tamtych lat? Lat naszej pierwszej miłości, nie do jednej osoby, ale do grona przyjaciół, do muzyki, do śpiewu... Co nam zostało? Garść ziemi w szkatułce, by nią posypać grób, gdy odejdziemy, fotografie, zasuszone wrzosa z Karolinek, ostatniej wycieczki, listy z zatartym pismem, tomiki dziecinnych wierszy, których nikt nie wydrukował bo „nie było w nich ideologii socrealizmu” – jak mi powiedziano w latach pięćdziesiątych.

Została też przyjaźń, która tam w Wilnie zakwitła jak purpurowy mak i pielęgnowane przez wspomniałych pedagogów księży: Pawła Piekarskiego, Jana Kozaka, Stanisława Bielawskiego, a także świeckich: prof. Pawła Podejkę, Władysława Kalinowskiego, Piotra Szablowskiego, Aleksandra Sulikowskiego, Aleksandra Dubickiego i wielu innych – pozostała do dziś. Wraz z ideałem przyjaźni rozwijali w naszych młodych umysłach miłość do ojczystych stron, miłość do tej ziemi, która jest nie tylko przedmiotem chrześcijaństwa, ale i zwyczajnym chodnikiem Europy, który wydeptywany jest przez stulecia. Tym, którzy pomagali mi przetrwać okres „lat gniewnych, mrocznych” i nie zatracić ducha oraz czystego serca, tymi wspomnieniami składam najszczerze podziękowania.

Efka

Kwadryga na Placu Katedralnym
Z Zachodu na Północ rozszalała kwadryga,
wjechała na Plac, gdzie Znicz niegdyś płonął,
wjechała zniemacka, nim człowiek ochłonął
i pędzi dalej, a bat w rękę śmiga,
dumnego jeźdźca, w szyszaku na skroniach,
i z napisem „Gott mit uns” na pasie.
O, tempom, o, mores! O, ty straszny czasie!
Z goryczy pióro ledwo trzymam w dłoniach.
Lecz smutek mój pierzcha, bo myśl lotna w biegu,
Napęlnia duszę i kres kładzie smutkom.
Ta kwadryga będzie tutaj krótko!
Przyjdzie Słońce! Roztopi ją. Wszak ona ze śniegu!

Wilno, styczeń 1942 r.